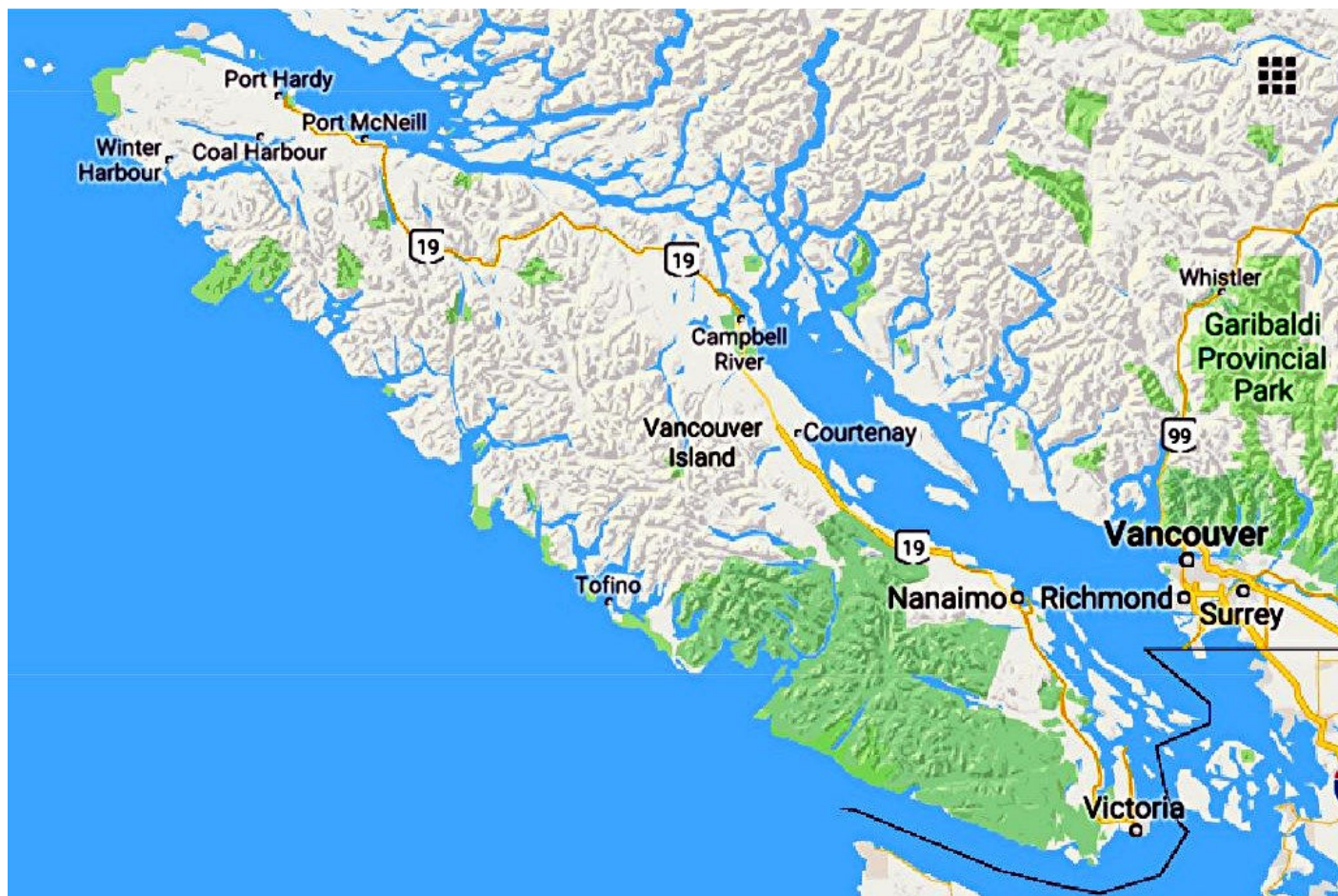


2007.07 Jachtem „Varsovia” - dookoła wyspy Vancouver

Dookoła Wyspy Vancouver jest ponad 600 Mm. Trasa jest bardzo urozmaicona pod względem nawigacyjnym i turystycznym. Jest dużo porcików i miasteczek, niektóre z nich są nie zamieszkałe. Jest też dużo kotwicowisk.



Opłynięcie Wyspy jest bardzo dobrą praktyką żeglarską, bo w cieśninach od strony wschodniej są bardzo silne prądy pływowe i zmienne wiatry a od strony zachodniej otwarty ocean z wysoką falą rozbijającą się o skaliste brzegi. Częste sztormy dodają respektu do takiej żeglugi. Są też gorące źródła i dużo innych atrakcji, niespotykanych na innych akwenach żeglarskich. Większość żeglarzy z Vancouver nigdy nie pływa dalej niż do Campbell River, bo tam są bardzo silne kilkunastowęzłowe prądy pływowe. Na zachód od tego miasta jest jeden z najbardziej popularnych rejonów żeglugi Desolation Sound, gdzie woda jest stosunkowo ciepła ze względu na spotkanie dwóch przyływów opływających wyspę od południa i od północy.

Początek rejsu był razem z Jankiem i Ewą Pietrzak, którzy płynęli katamaran „Skana Sting” do Desolation Sound a „Varsovia” dalej na północ. Oba te rejsy rozpoczęły się wspólnie z tym, że jachty te wypłynęły z różnych marin.

Pierwsze spotkanie naszych jachtów odbyło się w Pender Harbour gdzie mieszka mój kolega Siemion. Ma on dom z pięknym widokiem na cieśninę i prywatny pomost, który może pomieścić kilka jachtów.

„Skana Sting” i „Varsovia” zacumowały do tego pomostu, gdzie była okazja do zrobienia wspólnego zdjęcia.



Spotkanie trzech polonijnych jachtów odbyło się w Pender Harbour.



Gdzie do grupy dołączył jacht motorowy „Jess” kolegi Siemiona.

Po wspólnym krótkim płynięciu "Varsovia" pożegnała „Skane Sting" w Squirrel Cove (Desolation Sound) i popłynęła dalej.



Cieśnina Johnstone Strait przywitała „Varsowię” przeciwnym wiatrem z siłą ponad 8 stopni w skali Beauforta.



Kolejne fale zalewały okna kabiny i z trudem udało się wpłynąć do zatoki, która po zakotwiczeniu okazała się niezbyt bezpieczna na przeczekanie sztormu.



Trzeba było ponownie wypłynąć i żeglując z wiatrem poszukać bezpieczniejszego miejsca.



„Varsovia” dzielnie radziła sobie ze spienionymi grzywaczami.

Po wypłynięciu z Port Hardy, otwarty ocean powitał „Varsowię” ciszą. Północno zachodni sztorm, wydmuchał się. Nowy wiatr zmienił kierunek i zaczął rozdmuchiwać się następny sztorm, tym razem południowo wschodni, czyli znowu przeciwny dla „Varsovii”.



Dwie noce spędzone w Winter Harbour w oczekiwaniu na lepszy wiatr.



Winter Harbour jest małym porciem dobrze osłoniętym od sztormowych wiatrów. Kiedyś kwitło tu życie, mieszkało dużo ludzi. Był to port macierzysty wielu kutrów rybackich, albo odwiedzających w sezonie połowowym. Obecnie stałych mieszkańców jest tutaj bardzo mało. Inni traktują to miejsce bardziej wakacyjnie i zamieszkują tylko w okresie letnim.



Dużo domów rozsypane jest tak jak ten, w którym kiedyś był warsztat remontowy łodzi rybackich. Pozostały tylko porzucone sprzęty przypominające dawną czasy rozkwitu rybołówstwa na zachodnim wybrzeżu Wyspy Vancouver.

Po wypłynięciu z Winter Harbour znowu schowanie się przed kolejnym sztormem (ponad 40 węzłów) w Klaskish Inlet, małej zatoczce przed Półwyspem Brooks.



Wyspa Solander i przylądek Cook nazywany przez żeglarzy opływających Wyspę Vancouver: „Mini Cape Horn”.



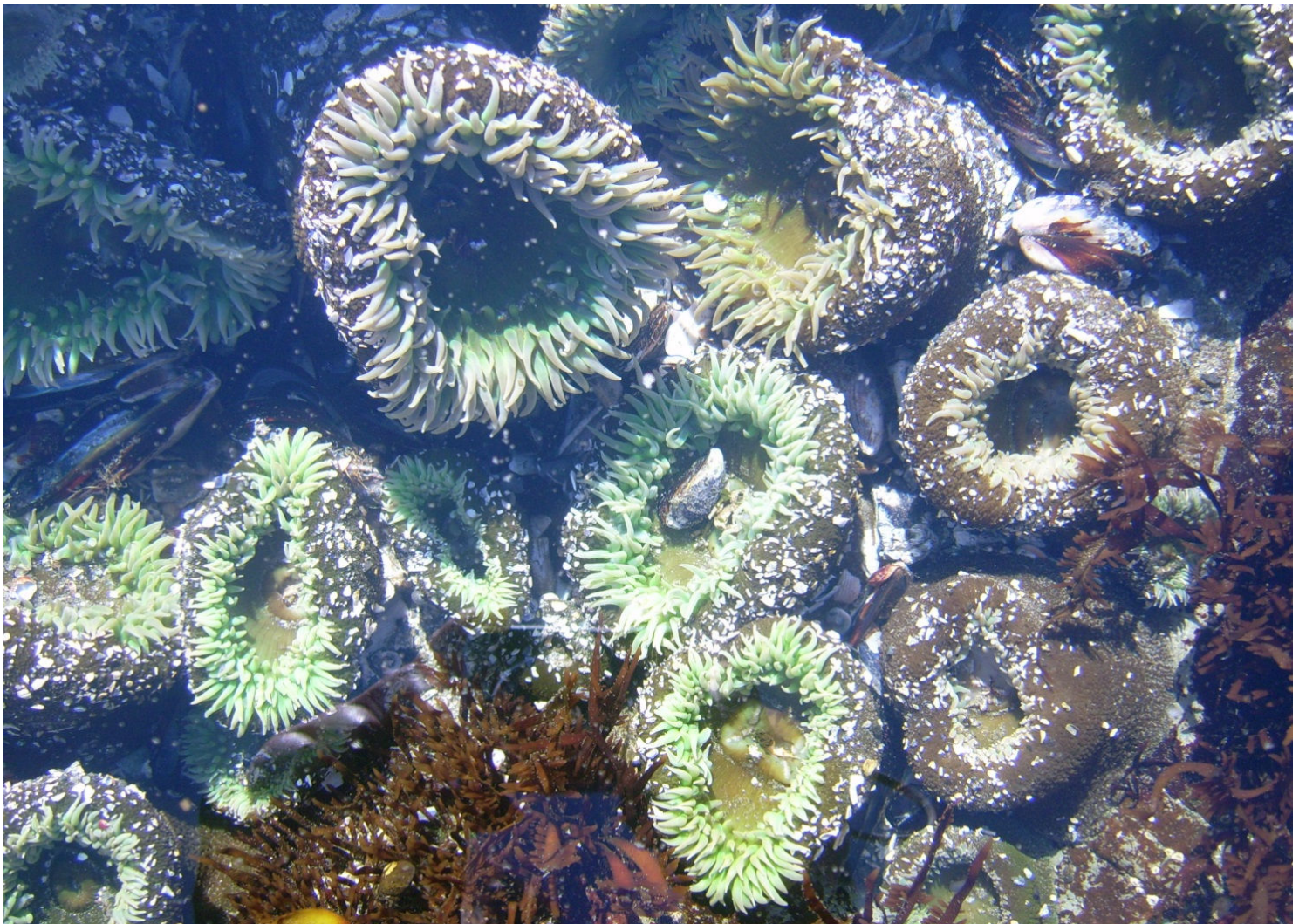
Po sztormie i deszczu pokazała się malownicza tęcza.



W Tofino „Varsovia” zacumowała do burty rybackiego żaglowca „Pathfinder III”. Kapitan Jerzy Łubisz, pseudonim „Mrówka” i załogant Ryszard Dolecki schowali się przed sztormem, który uniemożliwiał im połowy tuńczyków.



W Tofino na „Varsowię” zaokrętowała Elżbieta i Marek. Rozpoczął się dwutygodniowy rodzinny rejs oraz spacer i plażowanie na Long Beach.



Podczas odpływu, bez potrzeby nurkowania można było podziwiać malowniczą podwodną roślinność.



Hot Springs Cove. Naturalne i jeszcze niezniszczone komercyjną zabudową gorące źródła. Przyjemnie jest posiedzieć w naturalnych „wannach” pomiędzy skałami i grzać się w gorącej wodzie. Albo bliżej oceanu, gdzie fala i przyływ wnosi zimną oceaniczną wodę do najniższej położonych „wanien” i miesza ją z gorącą wodą. W tym miejscu ma się wrażenie podobne do wybiegania z gorącej sauny i skakania do lodowatej wody w przeręblu.



Pod wodospadem nie można stać zbyt długo, bo woda jest za gorąca, ale dobrze jest wymoczyć się z oceanicznej soli.



Do gorących źródeł prowadzi przez dziewiczy las dwukilometrowa droga, jak na razie to naturalne środowisko nie zostało jeszcze zniszczone przez cywilizację.



Ucluelet, mały port i miasteczko, ale bardzo zatłoczone, bo jest tutaj dogodny dojazd drogą. Przyjeżdżają liczni turyści, głównie wędkarze pragnący złowić na oceanicznej fali wielkie łososie.



W tym rejonie jest bardzo dużo małych wysepek, o które rozbijają się fale oceaniczne. Nawigowanie wymaga tutaj bardzo dużo wyjątkowej uwagi, bo każdy błąd może kosztować rozbiciem jachtu.



W Barkley Sound stojąc na kotwicy można było podziwiać w gładkiej wodzie lustrzane odbicie drzew.



Atrakcyjne jest pływanie na dinghy i zwiedzanie niezliczonej ilości wysepek Parku Narodowego.



Drogę powrotną do Sooke Harbour miałem w kompletnej mgle. Ale za to następnego dnia od Victorii była wspaniała żegluga pełnym wiatrem aż do samego Vancouver.

Tekst i zdjęcia Jerzy Kuśmider